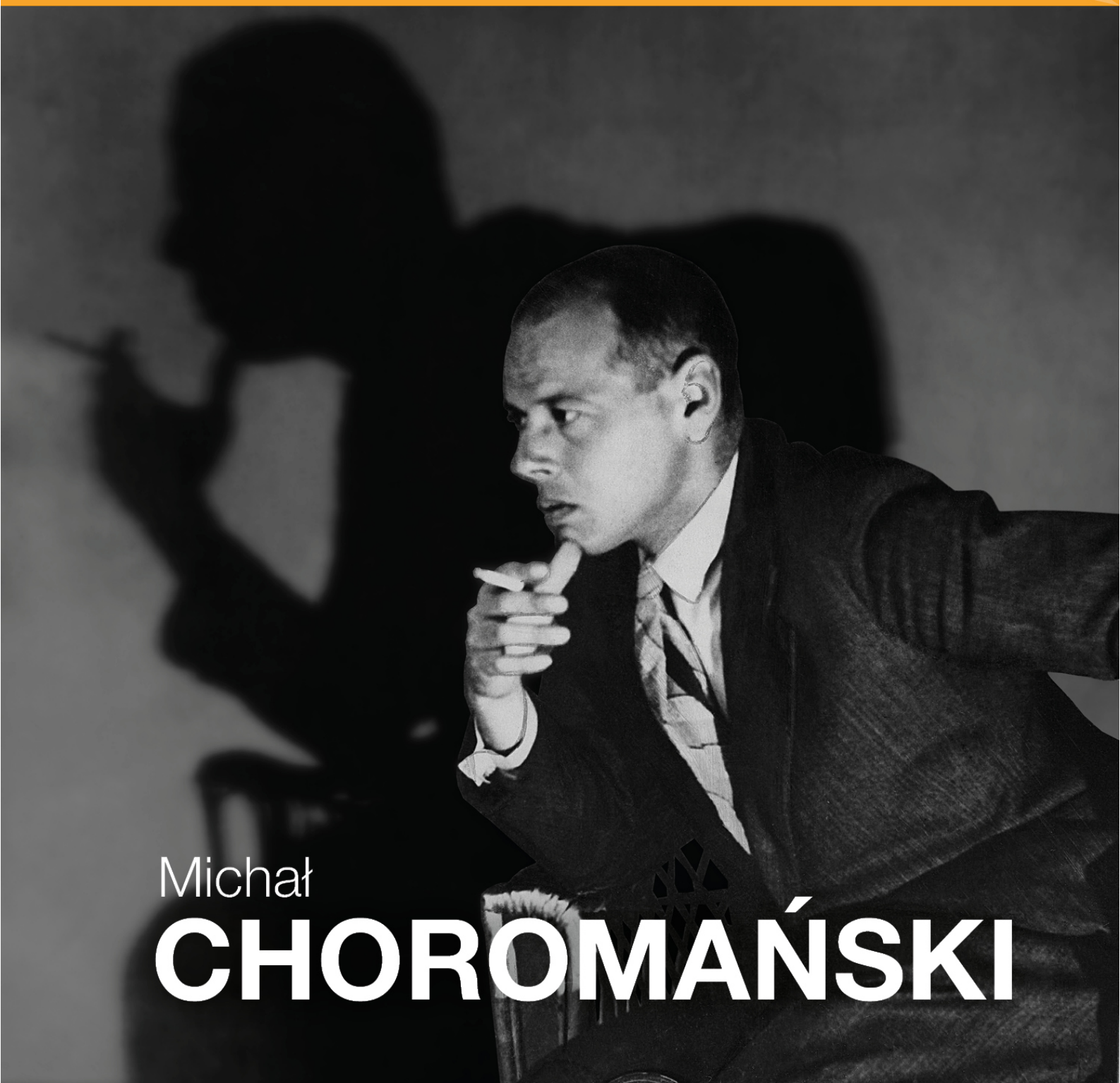


Słowacki wysp tropikalnych

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

SŁOWACKI WYSP TROPIKALNYCH

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-62-3

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1971

PRZEDMOWA

Szło o pewnego pana, o którym wybitna córa naszego piśmiennictwa pisała: „A kiedy mowa o książkach, to powiedzieć muszę, że ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczytne i opłacające się wybornie, o mało mnie ataku nerwowego nie nabawił. Czułam, czytając o nim, taką jakąś rzecz śliską i niesmaczną, podłazącą pod gardło!” A potem dodawała, że nad powieściami tego pana „żaden podłotek polski nie uroni łyżu altruistycznej ani szlachetnego postanowienia nie poweźmie”.

Było to gdzieś na początku naszego stulecia. I kamień rzucony przez tę mistrzynię pióra gęsiego lub raczej stalówki z obsadką, uderzywszy o taflę gazeciarskiej wody, jął parokrotnie po niej podskakiwać, aż wreszcie utonął – pozostawiwszy jednak na powierzchni coraz to poszerzające się drukowane i szeptane kręgi. Na brzegu tej dziennikarskiej wody czy stawu wystawiali rodacy: panie jeszcze niemal w krynolinach, z kokardami niczym olbrzymie motyle siedzącymi gdzieś poniżej ich nerek, łatwo mdlejące, wachały salmiak, opierając się o kościaną rączkę wysokich koronkowych parasoli; panowie – w szapoklakach, w bardzo wąskich spodniach, z bródkami i podkręconymi wąsami, wpychali sobie do przerażonego, zaszokowanego, oka szkiełko monokla o szerokiej czarnej wstążce. Kręgi rozchodziły się i rozchodziły po toni opinii polskiej i do tej pory jeszcze, po dziesiątkach lat, na krańcach Polski można tam i ówdzie zauważyć ich falujące migotanie. Tak na przykład nie dalej jak rok temu w pewnej bibliotece miejskiej na Kaszubach bibliotekarka, gdy zaszła mowa o owym panu, co to pisał po angielsku, wyraziła niejako wątpliwość, czy nie był on zdrajcą? Już nie była w krynolinie i nie wachała salmiaku, lecz w oczach jej było to samo zgorszenie i rodzaj mdlejącego patriotycznego: A-ach...

Więc ten pierwszy kamień został rzucony na początku naszego wieku. Natomiast pod koniec I wojny światowej, gdy w Vavey (w Szwajcarii) obradował Komitet Niesienia Pomocy Ofiarom w Polsce, sprawa zamuliła się jeszcze bardziej. Autor *Ogniem i Mieczem* oraz pianista, przed którym, gdy wychodził na estradę, wstawali królowie i prezydenci republik – przewodniczyli temu Komitetowi. Dbając o dobro Sprawy Polskiej, o rozgłos i donośne echo naszych słuszných żądań, Komitet postanowił zdobyć także do propagandy i tego pana „który po angielsku pisuje powieści”. I oto wkrótce nadeszła od niego odpowiedź. Kronikarz podaje: ten pan „odmówił współpracy pod pretekstem, że bierze w nim (w Komitecie) udział ambasador carskiej Rosji!” Nie wiemy, czy owe słowo użyte przez kronikarza – „pretekst” – było szczęśliwe. Kronikarz dodaje, że ten pan, który po angielsku pisuje powieści, jakby „dawał lekcje patryotyzmu Sienkiewiczowi i Paderewskiemu... Mecenase Osuchowski, wiceprezes Komitetu, suchy staruszek o oczach wciąż gorejących najszlachetniejszym zapalem, zawiadomił nas, trzęsąc kościanymi rękami w powietrzu i jękając się ze wzruszenia, że... znakomity pisarz angielski zawiódł nasze oczekiwania. Zapadła cisza, ogarnęło nas zdumienie, aczkolwiek znaleźmy przeszłość...” tego pana.

Podobno pierwszy na tym posiedzeniu odezwał się tedy Sienkiewicz: – To prosta rzecz – rzekł spokojnie o tym panu piszącym po angielsku. – Człowiek nieraz mści się za swój własny zły uczynek.

Był to inny kamień, który spowodował nowe kręgi.

A tymczasem, między obu tymi wydarzeniami, gdzieś akurat pośrodku, w małym dworku, do którego okien prawdopodobnie zaglądały bzy i jaśminy, a na którego ścianach płonęły pąsowe serca malw – ktoś pożyczył czy też dał do czytania pewnej wiejskiej pannie niewielką białą książczynę w wydaniu Tauchnitza. Bardzo możliwe, że panna miała płowe warkocze, prawie z całą pewnością mówiła śpiewnie, zaciągając po kresowemu. Pozostała niestety bezimienna i jako bezimienna przejdzie do historii literatury. Z całą pewnością przejdzie. Minęło kilka dni. Możemy sobie wyobrazić, jak to było dalej. Jest siny, rozjarzony poranek majowy, w krzakach czubią się dzierzby i wróble – oto w bramie, w złocistym

obłoku kurzu, ukazuje się bryczka i zajeżdża przed dworek. Albo może akurat padało, w powietrzu wisi firanka mżących w błyskach słońca kropelek, na ścieżkach zastygają liliowe kałuże, w których przeglądają się białe bzy – gdy bryzgając błotem zatrzymał się przed gankiem zaprzężony w parę kasztanów powóz z podniesioną skórzaną budą. Wysiada zeń pan w makintoszu, właściciel owej książeczyny w białej skromnej okładce papierowej i z czarnym prostym drukiem – pseudonimu i tytułu. Tauchnitz było to w tamtych zamierzchłych czasach popularne wydawnictwo angielskich książek, powiedzielibyśmy teraz – masowe, tanie i prawie kieszonkowe. Ów właściciel książki zdejmuje w sionce makintosh i wchodzi do świetlicy o niskim pułapie, o małych kwadratowych oknach, wypchanych zielenią i kwieciami, a umeblowanej być może brązowymi biedermeierowskimi mebelkami, obitymi kolorowym samodziłem. I wtem z jego książką w ręku wychodzi mu na przeciw wspomniana panna wiejska. Płowe warkocze zwisają jej z ramion na pierś lub niczym złote zaskronce zwinięte w kółka przysłaniają jej uszy. Już tę książczynę przeczytała. Pan z ciekawością zagląda w jej ciemne kresowe oczy. A więc co o niej myśli, jakie na niej wywarła wrażenie?

Nie będzie rzeczą nieprawdopodobną, jeżeli oczy jej w tej chwili świeciły. Nie będzie też niewiarygodnym, że przy tym trochę dyszała. Oddaje mu książkę i woła...

Ale tu urwijmy ten opis, nie dopowiadajmy sobie już nic więcej. Właściciel książki niestety nie podał nam szczegółów, nie opowiedział dokładnie o tej czytelniczce ani o jej dworku, ani o tym, jak to się stało i odbywało z tą książką. Przytacza tylko lakoniczne słowa, które zawołała, gdy mu ją oddawała. I my też przytoczymy to zdanie dosłownie, zgodnie z pisemnym jego świadectwem.

– Słowacki Wysp Tropikalnych! – rzekła.

I oto w kilkanaście mniej więcej lat potem Conrad zdobywa z powrotem Ojczyznę, wybucha nad jej dwiema stolicami, nad miastami wojewódzkimi i powiatowymi i łuna tego wybuchu odbija się w oczarowanych oczach zarówno snobów warszawskich, jak i dajmy na to aptekarza czy proboszcza z Sieradza. Zaczęło się to wkrótce po 20 roku i wciąż narastało i rosło. Posypały się tłumaczenia Lemańskiego, X. Sapieżyny, Rychlińskiego, Zagórskiej, Wyrzykowskiego, Paździerskiej – i wielu innych. Były różnej wartości, najczęściej ceniono podówczas przekłady Anieli Zagórskiej. Ale obecnie wydaje się, że nie bardzo poprawne tłumaczenie *Nostromo* przez St. Wyrzykowskiego dyszy polszczyzną najbardziej do conradowskiej prozy zbliżoną.

Sława, blaski i urok Conrada, nic nie malejąc, przetrwały do września 39 roku. W okresie międzywojennym nie było domu, w którym by nie mówiono o nim, nie tyle nawet już ze czcią czy podziwem, co rzekłbyś, z emocjonalnym wstrząsem. Zaiste warto było przyjrzeć się oczom warszawiaków, powiedzmy, i to nie w kawiarni literackiej, gdzie gromadzili się znawcy i smakosze zawodowi, lecz oczom dentystów, nauczycielek arytmetyki, pielęgniarek, adwokatów, przeróżnych urzędników... Zamiast krzesła dentystycznego lub tabliczki mnożenia, zamiast paragrafów prawa lub urzędowego papierku z pieczęcią w oczach tych odbijała się rozświetlona tropikalna zieleń, świecił jawajski księżyc, białe śnieżne szczyty Costaguany, błękitniało zwierciadło morza z unoszącym się nad nim niczym obłok ożaglowaniem okrętu. Śmiesznie i przesadnie to brzmi, wręcz nieprawdopodobnie w naszych czasach, chociażby w obecnym 1967 roku. Coś się stało, coś się w czytelnikach Conrada odmieniło.

Prawdopodobnie zaciążyła tu wojna, straszliwe przeżycia okupacyjne – ale słyszeliśmy już tam i ówdzie zdanie, że Conrad to literatura młodzieżowa, dobra dla niedoroslów chłopaków, tak jak gdyby tylko chłopak w naszych czasach mógł wierzyć w ludzką uczciwość. Natomiast jako kontrast przypomina nam się stosunek naszej znajomej przedwojennej warszawskiej panny do *Ocalenia* Conrada. Bohaterem tej powieści jest kapitan Lingard. Otóż musimy przytoczyć jej przypadek, chociaż wiemy, że ryzykujemy wywołanie

śmiechu. Lecz w owym 1928 roku to wcale nie śmieszyło, było to skądinąd nagminne. Warszawska panna, córka wysokiego urzędnika państwowego, miała dwadzieścia i kilka lat i proszę nam wierzyć, że była bardziej niezależna i bardziej otrząskana z miłością we wszystkich jej aspektach niż nawet większość współczesnych panien. Bardzo zamożna, miała ten zwyczaj, że nader często kupowała sobie nowe rękawiczki czy to z gieny, czy to z zamszu, czy to z innej skóry, kremowe, popielate, fiołkowe, wiśniowe... i kupiwszy nowe, zaraz wyrzucała stare. Jej koleżanki uśmiechały się z podziwem, wiedziały, co to znaczy, a i nam przypadkowo było wiadomo, że z każdą nową parą rękawiczek, co trzy tygodnie lub najwyżej co trzy miesiące, ktoś dawniejszy zniknął z jej życia, a ktoś inny się zjawiał na jego miejscu. Była dowcipną, błyskotliwą dziewczyną, pełną ekstrawagancji, która w tym poszczególnym wypadku polegała na tym, że chciała dać do poznania znajomym, iż potoczne powiedzenie: zmienia kogoś jak rękawiczki – rozumie w jak najbardziej dosłownym sensie. Na imię jej było Renata. I proszę zobaczyć – na wskroś nowoczesna, wyemancypowana panna wyznała nam kiedyś przy kieliszku, że kocha się... kocha tylko i jedynie w kapitanie Lingardzie z *Ocalenia* Conrada. Że jeżeli zmienia swoje rękawiczki, to w ciągłej nadziei, że każda następna para może, może wreszcie objawi jej coś, co by do kapitana Lingarda chociaż po części było podobne.

*

I tu zbliżamy się do punktu najważniejszego: jak opowiedzieć współczesnym o przeszłości, żeby zarazem nie wywołać śmiechu.

Śmiech bowiem w Historii jest rzeczą niedobłą. Nie dlatego, że zawiera kpinę z naszych praojców czy nawet ojców, lecz dlatego, że śmiejący się z przeszłości człowiek jest żywym świadectwem tej prawdy (czy półprawdy), że między nami a Historią Dziejów szlaban drogi jest zamknięty. Śmiejemy się, bo nie potrafimy już się wczuć w przeszłość i jej zrozumieć. Komunikacja jest odcięta, szyny i tory kolejowe pokryły się zaspami śniegu. Zamiast wiedzieć prawdę, autentyczną prawdę o tym, co było (a wszak to pod każdym względem dla nas jest ważne), zamiast obcować z wiekami, ba! chociażby z minionym ćwierćwieczem, zamiast czuć się częścią całości – nie widzimy dalej własnego nosa i bałwaniejemy w dzisiejszości. I na to bałwanienie zdane jest każde pokolenie; minie cykl dzisiejszości, dzisiejsi bałwani przeminą – i nastąpi nowa dzisiejszość, tak samo w sobie hermetycznie zamknięta i tak samo wypełniona bałwanami, którzy do takiego stopnia zbałwaniali, że nie potrafią podać ręki ani tym, co już idą przed nimi, ani tym, co pozostali daleko w tyle.

Autorowi, gdy pisał niniejsze wielostronicowe zbeletryzowane sprawozdanie, któremu nadał tytuł *Słowacki Wysp Tropikalnych*, zależało nie tylko na streszczeniu pewnej życiowej fabuły, lecz w wielkim stopniu i na zbliżeniu czytelnika do opisywanej epoki, odległej już hen jak daleko, mimo że mierząc na lata, minęły od niej zaledwie trzy dekady lub trochę więcej. Lecz proszę nie myśleć, że w tym celu chwyci za drewnianą łopatę i zacznie zgarniać śnieg z szyn i progów kolejowych lub z kocich łbów przedwojennej szosy. Wręcz przeciwnie – a to dlatego, że autor jest przeświadczony, iż wszelkie szyny czy każda brukowana droga nie prowadzą do Historii, nie trafiają do serca dziejów.

Szyny bowiem czy bruk zazwyczaj są wytyczone przez inżyniera historyka i są dziełem jego widzimisię, i biegają one tylko w jednym kierunku – od inżyniera do dziejów historycznych. Podwójnego toru nie ma. Przy czym inżynierowi jak gdyby zależy jeno na tym, by udowodnić, że jego droga jest jedyna i przeto słuszna. Konstruktorzy są zawsze nieco chępliwi.

Jadąc takim szlakiem w głąb wieków, liczymy słupy telegraficzne, czyli uczymy się chronologii, zapoznajemy się z oficjalną a miarodajną wersją wypadków – i bodajże nic

więcej. O tym, jak się tam żyło, czym się oddychało, co się czuło – nie mamy pojęcia. Owszem, wiemy to i owo, niekiedy ilościowo niemało – wiemy, ale nie czujemy. Zdaniem naszym to się dzieje dlatego, że historycy chcą jasności, prawdy i niezbitych faktów.

Natomiast człowiek żyjący w dzisiejszości żyje w niejasności, w półprawdzie i wśród nieścisłych faktów. Zawsze i wszędzie. Taka jest swoistość dzisiejszego, bieżącego dnia. Ergo, żeby zrozumieć i się zbliżyć do człowieka przeszłości, trzeba przede wszystkim zrozumieć, wśród jakich żył niejasności, jakich półprawd i jakich nieścisłych faktów. I dopiero wtedy my, dzisiejsi ludzie, zrozumiemy dzisiejszość wczorajszą – czyli Historię.

Ale do czego autor w ten sposób zdąża? Do pewnej propozycji. Do tego, by skłonić czytelnika, jeżeli już nie dziejopisów zawodowych, do podstawowej, zdaniem jego, cnoty czy też zalety niezbędnej przy badaniu epok historycznych – mianowicie, do szacunku dla plotek.

Autorowi na przykład wydaje się, że plotkarz Suetoniusz otwiera nam oczy na Rzym bardziej niż sumienny Tacyt. Suetoniusz dyszy plotką, gadkami, a przeto autentyczną dzisiejszością tamtejszego okresu historycznego wraz z jego niejasnościami, półprawdami i nieścisłymi faktami. Jest zwykłym człowiekiem jak my, jest człowiekiem z ulicy. Sposób jego myślenia i obgadywania bliźnich jest nam bliski... I mimo to autorowi nie udało się jeszcze spotkać historyka, który by Suetoniusza właśnie za plotki przede wszystkim cenił.

Tymczasem przydarzyło się nam na wiosnę 39 roku, gdzieś w kwietniu, zwiedzić Rzym i pozostać w nim przez dwa tygodnie. I wtedy nieoczekiwanie ujawniła się słuszność powyższych rozważań. Chodząc po Forum przeglądaliśmy *Trzynastu Cesarzy*. Otworzyliśmy książkę na stronie o Tyberiuszu i całkiem przypadkiem, siedząc na zwalonym kawałku pilaru, przeczytaliśmy o tym, że Rzymianie nazywali Tyberiusza – Biberiuszem, od słowa łacińskiego *bibere* – pić. Gra słów poruszyła nas, ale nie w tej jeszcze mierze, w jakiej miała poruszyć w niecałą godzinę później. Albowiem o piątej w recepcyjnych salonach naszej ambasady, ówczesny ambasador RP generał Wieniawa Długoszowski podejmował koktajlem rzymskich polityków, jak również ludzi kultury i kilku znajdujących się w Rzymie rodaków. Otóż na tym przyjęciu dyplomatycznym, zetknąwszy się z owymi rodakami, dowiedzieliśmy się o witzu, krążącym po całym Rzymie i w kołach polonijnych podawanych sobie z ust do ust. Jak wiadomo w tamtych latach na watykańskim tronie przebywał Papież Pius XII. – Czy wie pan – powiedziano do nas w zacisznym kąciku olbrzymiego salonu – że w Rzymie jest obecnie dwóch Piusów.

– Jak to?

– Ano tak. Ojciec Święty i Wieniawa.

Pius – pijus. Tiberius – Biberius! I od razu wydało się, że starożytny Rzym jest tuż obok, że ożył, że przysunął się do nas. I śmiejąc się na głos czuliśmy, że śmiejemy się dosłownie tak samo, tym samym śmiechem, jak przed wiekami śmieli się tu, może nawet na tym samym miejscu Rzymianie Tyberiusza.

*

Dziejopis domorośły, pocziwy złośliwiec a plotkarz zbliża więc nas do epoki bardziej i skuteczniej niż ktokolwiek fachowy – między innymi może też i dlatego, że posługuje się bezwiednie techniką, którą chciałoby się nazwać historycznym impresjonizmem. Ba, używając malarskich terminów – niekiedy pointyлизmem.

Manety, Pissary, Renoiry i inni rozłożyli światło na bezlik drobnych kolorowych plamek, zdawałoby się dla realistycznego oka w naturze nie istniejących. Skąd niby te zielone, fioletowe, czerwone, pomarańczowe kropeczki na świetlnej plamie grającej na policzku oto tej pani w słomkowym kapeluszu siedzącej pod konarami drzewa owocowego? Skąd podobna pstrocizna na ramieniu wychodzącej z wody na trawiasty brzeg gołej modelki?

A jednak te nieprawdopodobne barwy łącząc się w całość stwarzają wrażenie lekkości, światła i autentyzmu.

Plotki, pogłoski historyczne są podobnymi plamkami. Mimo że są nierzeczywiste, przekraczające prawdę, mimo że są przesadą lub zgoła wymysłem – łączą się tak samo w przedziwną całość i oświetlają w sposób najbardziej dokładny a zbliżony do autentyczności dany kawałek czy fragment historii wraz z jej klimatem i atmosferą.

A właśnie po taki kawałek (lata trzydzieste) sięgnął bardzo nieśmiało autor *Słowackiego Wysp Tropikalnych* i opisał pewne wydarzenia czy szereg wydarzeń, których wypadło mu być świadkiem. Trzymając w ręku najcieńszy pędzel, jaki mógł zdobyć, zaczął na rozwiniętym przed nim płótnie kłaść obok siebie różnokolorowe gadki i pogłoski, liliowe słychy i seledynowe szepty, czarne i białe fakty. Stanowią one niejako historyczne tło.

Tu trzeba przystanąć, aby nie wynikły nieporozumienia. Nasunęliśmy mimo woli czytelnikowi fałszywe o nas wyobrażenie: w 90 procentach co najmniej namalowane przez nas tło składa się z realiów, a tam gdzie powtarzamy słychy, staramy się tę okoliczność podkreślić. Tak że nie można autora nazwać plotkarzem, jeżeli pod tym mianem rozumiemy kolportera wręcz zmyślonych wiadomości... Zresztą, a gdyby nawet i tak było. Książka ta pisana jest w plotkarski sposób, autor się tego nie wypiera i nad tym nie ubolewa. Bowiem w sprawach sprawozdań historycznych – szanuje plotki, plotkujących kronikarzy a nade wszystko plotkującą historię.

*

Ale wracając do Conrada. Autor, mimo że mogło to zwolnić akcję, nie zawahał się możliwie pokrótce streścić tego lub innego jego utworu. Wydawało mu się to potrzebne. Jednakże dla jeszcze większej jasności będzie lepiej, jeśli teraz w przedmowie przypomni czytelnikowi, zwłaszcza stroniącemu od Conrada, trochę obszerniej treść jego powieści *Zwycięstwo*. A właściwie nie tyle samą intrygę czy fabułę, co raczej wstęp do niej. Cytując te wstępne opisy, posługujemy się słowami Anieli Zagórskiej, kuzynki Conrada, która *Zwycięstwo* przetłumaczyła. Jest to niezbędne, gdyż opis hotelu Schomberga na wyspie Sambourai powinien pozostać w naszej wyobraźni.

W hotelu tym bowiem bohater conradowskiej powieści Szwed Heyst poznaje muzykantkę Lenę. „Hotel Schomberga stał w głębi rozległego ogrodu (czytamy u Conrada), gdzie mieścił się ogród oraz dziedziniec z kilku wielkimi drzewami o szeroko rozpostartych konarach ocieniających oddzielną halę odpowiednią na koncerty i inne przedstawienia – jak to sformułował Schomberg w swych anonsach. Podarte, trzepoczące się afisze, umieszczone na ceglanych słupach z dwóch stron bramy, głosiły przysadzistymi, czerwonymi literami: Co wieczór koncert!”

Do tego hotelu zabrnął kiedyś znajomy Heysta, kapitan Davidson. Poszukał schronienia w najbliższym zacienionym pokoju i usiadł. Naprzeciwko niego wisiał na ścianie ten sam afisz. Patrzył nań leniwie, przy czym zwróciła jego uwagę okoliczność – nie zdarzająca się tam często – że była to damska kapela: Wschodnie tournée Zangiacoma, osiemnaście dam muzykantek. Afisz stwierdzał, że kapela miała zamierzać popisywać się doborowym repertuarem przed różnymi kolonialnymi ekscelencjami... (i tak dalej)...

Gdy tak przypatrywał się afiszowi, otworzyły się drzwi za jego plecami i weszła kobieta, którą uważano – i bez wątpienia słusznie – za żonę Schomberga. Jak ktoś cynicznie zauważył, za mało była pociągająca, aby odgrywać inną rolę. Krążyły wieści oparte na jej lęklwym wyrazie twarzy, że Schomberg haniebnie się z nią obchodził. Davidson uchylił kapelusza na jej widok. Pani Schomberg skłoniła w odpowiedzi wyblakłą twarz i siadła natychmiast za podwyższonym kontuarem mieszczącym się naprzeciw drzwi, na tle lustra i licznych rzędów butelek. Uczesana była nader wymyślnie, z dwoma lokami zwisającymi z

lewej strony wychudłej szyi, suknię zaś miała jedwabną; stawiała się właśnie do popołudniowego zajęcia. Schomberg wymagał tego z jakiejś przyczyny, chociaż obecność jej nie dodawała bynajmniej uroku sali restauracyjnej. Siedziała w dymie i hałasie niby bóstwo na tronie... Nie odzywała się do nikogo i nikt też do niej nie mówił...

Zamieszkały w hoteliku Schomberga Heyst, któregoś wieczoru „został doprowadzony do ostateczności przez skrzekliwe, piskliwe, drapiące urywki melodii, które prześladowały go nawet na twardym łóżku – na materacu cienkim jak naleśnik, pod przejrzystą zasłoną od moskitów. Zeszedł na dół i znalazł się wśród drzew, gdzie łagodny żar japońskich latarni oświetlał gdzieniegdzie w ciemnościach płaty wielkich chropawych pni, tonących w mroku pod wyniosłymi konarami. Inne latarnie w kształcie cylindrowych concertin wisiały gęściejszym rzędem na luźnym sznurze, ozdabiając wejście do budynku, zwanego pompatycznie przez Schomberga halą koncertową.” Zgnębiony do ostateczności Heyst wszedł tam po trzech schodkach...

„Ogłuszający hałas panował w tym niewielkim budynku podobnym do stodoły, zbudowanej w pewnej wysokości nad ziemią, ze sprowadzonych desek sosnowych. Hałas ten sprawiała orkiestra piszcząc, skomląc, skrzecząc i kwicząc jakąś rześką melodię, podczas gdy fortepian, nad którym znęcała się kanciasta niewiasta o czerwonej twarzy i złośliwie wykrojonych nozdrzach, bryzgał twardymi jak grad dźwiękami sypiącymi się przez burzę zawodzących smyczków. Niewielką estradę zappełniały białe muślinowe suknie i purpurowe szarfy spływające ukośnie z bark; nagie ramiona rzępoliły bez wytchnienia. Orkiestrą dyrygował Zangiacomo... Gorąco panowało straszliwe. Ze trzydzieści osób siedziało przy małych stolikach, popijając różne trunki. Heyst, wprost przygnieciony ogromem hałasu, osunął się na krzesło. W szybkim rytmie nagich ramion, w różnorodnym przenikliwym zgiełku strun, w wyciętych sukniach, prostackich twarzach i w kamiennym wzroku muzykantek była jakaś brutalna podnieta, coś okrutnego, zmysłowego i odrażającego.

– To jest okropne – mruknął Heyst pod nosem...

Gdy orkiestra zamilkła, doznał tak wielkiej ulgi, że poczuł silny zawrót głowy, jak gdyby otchłań milczenia rozwarła się u jego nóg. Kiedy spojrzał na salę, twarze publiczności wyrażały... ożywienie i zainteresowanie, a muzykantki w białych muślinowych sukniach schodziły parami z estrady na salę koncertową Schomberga. Rozproszyły się wszędzie... Nastąpiła przerwa, w czasie której – zgodnie z planem przebiegłego Schomberga – członkinie orkiestry miały zaszczycać swym towarzystwem słuchaczy...

Heyst uznał to za wysoce nieodpowiednie. Lecz niestosowność przebiegłego zamysłu Schomberga została unieszkodliwiona przez tę okoliczność, że muzykantki były przeważnie niemłode, a żadna z nich nie odznaczała się nigdy pięknnością... Popęd do bratania się ze sztuką był najwidoczniej słaby wśród publiczności. Kilka muzykantek pozasiadało niedbale przy wolnych stolikach, inne zaś wzięwszy się pod ręce chodziły tam i z powrotem w środkowym przejściu – zadowolone, że mogą wyprostować nogi... Heyst uczuł nagłą litość dla tych istot, wyzyskiwanych, pozbawionych nadziei lepszego losu... Przykro mu było patrzeć, jak muzykantki chodzą tam i z powrotem obok jego stolika. Chciał już być wstać i odejść, gdy zauważył, że dwie muślinowe suknie i purpurowe szarfy zostały na estradzie. Jedna z tych sukien okrywała kościstą postać niewiasty o złośliwie wykrojonych nozdrzach. Była to ni mniej, ni więcej, tylko sama pani Zangiacomo. Wstała od fortepianu i zwrócona tyłem do sali, przygotowywała nuty do drugiej części koncertu... Wreszcie odwróciła się i spostrzegłszy jeszcze jedną muślinową suknię tkwiącą nieruchomo na krześle w drugim rzędzie, ruszyła do niej wśród pulpity patrząc zaczepnym i władczym wzrokiem. Na kolanach tej sukni leżała z rozwartymi dłońmi para drobnych, niezbyt białych rąk, złączonych z kształtnymi ramionami. Następnym szczegółem, który Heyst zauważył, było uczesanie – dwa grube kasztanowate warkocze, owinięte wokół główki o nęcącym zarysie.

– To chyba młoda dziewczyna – pomyślał zdziwiony...

Doznał wrażenia, że odczuwa coś zupełnie nowego. Wpływało to stąd, że jego umysł obserwacyjny nigdy jeszcze nie zajął się żadną kobietą w sposób tak wyraźny i wyłączny. Przypatrywał się jej niespokojnie... Tymczasem wysoka kobieta, podszedłszy do dziewczyny, zasłoniła ją na chwilę przed jego wzrokiem; pochyliła się nad dziewczęcą postacią przechodząc tuż koło niej, jak gdyby chciała szepnąć jej coś na ucho, i rzeczywiście wargi jej się poruszyły, ale cóż to mogło być za słowo, że dziewczyna zerwała się tak nagle? Zaskoczony tym Heyst drgnął przy swoim stole. Rozejrzał się szybko; nikt nie patrzył w kierunku estrady, a gdy znów spojrzał w tę stronę, dziewczyna razem z wysoką kobietą następującą jej na pięty schodziła właśnie z trzech stopni łączących estradę z salą. Tu zatrzymała się, posunęła się chwiejnie o krok dalej i przystanęła znowu, tamta zaś, ordynarna wielka baba od fortepianu – niby eskorta jej, niby dragon – minęła ją szorstko i maszerując wojowniczo środkowym przejściem wśród krzeseł i stolików, poszła szukać Zangiaco... Pogardliwe jej spojrzenie spotkało się z podniesionymi oczami Heysta, który spojrzał zaraz w stronę dziewczyny. Nie poruszyła się wcale. Ramiona jej zwisały bezwładnie, a powieki były opuszczone.

Heyst położył na wpół wypalone cygaro i zacisnął usta... Zapomniał, gdzie się znajduje, i nie powstrzymywany przez żaden przeblysł świadomości, siedł oto środkowym przejściem ku estradzie... Zatrzymał się przed dziewczyną, która dopiero po chwili zauważyła jego obecność. Stała cichutko ze spuszczonej oczami, blada, niema i bez ruchu. Dopiero gdy Heyst odezwał się do niej swym zwykłym dwornym tonem, podniosła na niego oczy.

– Przepraszam panią – rzekł po angielsku – ale ta okropna baba coś pani zrobiła. Uszczypnęła panią, prawda? Jestem pewien, że uszczypnęła panią przed chwilą, kiedy stała obok pani krzesła.”

Muzykantka, do której tak mówił, nazywała się Lena.

*

I jeszcze coś, już na zakończenie. Co to jest podobieństwo? Znane są wypadki, kiedy niektórym paniom każdy paznokieć u ręki przypomina jakiegoś znajomego. Coś, co zupełnie nie jest tym samym, niekiedy wydaje się nam podobnym. Rzekłbyś, że podobieństwo nie było czymś obiektywnym, lecz raczej subiektywnym. Autor jednak w to się nie wdaje. Stwierdza po prostu pewien fakt, którego urokowi uległ przed wielu laty i wspomniawszy, że uczucie podobieństwa a podobieństwo faktyczne widocznie nie są tym samym – kończy na tym przedmowę.

A. Grossenberg

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Po prawej stronie Wisły, naprzeciwko lunaparku, tuż u końca mostu Kierbedzia, znajdowała się w latach trzydziestych przez nikogo prawie nie uczęszczana restauracja „Sportowa”. Mało prawdopodobne wypadki, które w niej się rozegrały, zdaniem autora nie mogły się rozegrać gdzie indziej – tylko w tym mało prawdopodobnym miejscu. Powieściowa wymyślność otoczenia, nieomalże egzotyczna (a tak!) gleba spowodowały, że z dość

zwykłych sobie krajowych ziaren wyrosły przedziwne rośliny psychologiczne. Kto jednak rzucił te ziarna?

Sama nazwa „Sportowa” brzmiała cokolwiek prozaicznie. Autor nie wie, który z dzierżawców restauracji tak ją ochrzcił. Na dole pod nią Wisła toczyła flegmatycznie swe wody i było coś w rodzaju przystani, w której wynajmowano łódki zgrzanym i raczej zbiedniałym mieszkańcom warszawskich przedmieść. Być może dzierżawca sądził, że nazwą „Sportowa” zwabi do siebie tych sportowców. Ale nie zwabił. Autor nie wie i nie może sobie wyobrazić, w jaki sposób przez lata mogła egzystować restauracja mająca dziennie zaledwie paru klientów.

Dla autora było swego rodzaju przeżyciem, niemal szokiem, kiedy przypadkiem po raz pierwszy tam zabrnął. Było to upalnego lipcowego popołudnia, kiedy pachniało asfaltem topniejącym pod nogami. Wokoło była sama proza, czy też – jeżeli kto woli – rzeczywistość. Autor jechał dorożką konną przez most Kierbedzia. U wjazdu na most stały dwie baby w podkasanych spódnicach, spocone i bynajmniej nie malownicze – i z mętnych szerniałych szklaneczek częstowały rzadkich przechodniów kwasem chlebowym. Pod stropami mostu, żelaznym chodnikiem siedł policjant w białej letniej czapce i chustką ocierał sobie kark. Dzwoniąc i brzęcząc, dorożkę minął tramwaj, w którego oknach mignęły blade i jakby podpuchnięte z niewyspania twarze: to urzędnicy wracali już z biur do domów. Na dole widać było opalizującą płytką wodę i smętne wysepki mielizn. Od czasu do czasu dolatywały aż na most wrzaski kąpiących się Frań i Zosiek. Zawisłe jeszcze wysoko słońce przysłaśniały kłęby kurzu. Parne powietrze tłoczyło się – na moście nie było żadnego ciągu, i jechało się przezeń niczym długim, dusznym korytarzem.

Autor wybierał się do ogrodu zoologicznego, sąsiadującego – jak wiadomo starym warszawiakom – z lunaparkiem. W lunaparku o tej porze było pusto. Więc po lewej stronie widniały tonące w bladej, przyprószonej pyłem zieleni dachy bałaganów oraz samotnie wznoszące się rusztowania nie czynnej jeszcze kolejki powietrznej. Autor sam nie pamięta dobrze, dlaczego nie kazał dorożkarzowi, by nawrócił konia i podjechał pod samą bramę wesołego miasteczka. Może uważał, że prościej będzie na własnych nogach przejść na drugą stronę ulicy. Czy też może chciał raz jeszcze przyjrzeć się Wiśle. Dość, że zatrzymał dryndę i wysiadł tuż u wylotu mostu. Bura szkapa o wystających żebrach machnęła ogonem opędzając się od much i kulejącym truchtem ruszyła dalej po topniejącym asfalcie. Stojąc na chodniku, autor obrócił się w stronę rzeki – gdzie na dole zobaczył dwie zielone łódki płynące nieporadnym zygzakiem i wypełnione być może podpitymi sportowcami. Cieniutki babski wrzask znowu doszedł jego uszu. Ale odwracając się w ten sposób twarzą do rzeki, autor wzrokiem zahaczył o coś, co jakby kłóciło się z tą prozaiczną rzeczywistością. Wyczuł to niemal od razu i bardzo się zdziwił. Nie wiedzieć czemu przypomniało mu się *Zwycięstwo* Conrada.

Przed nim, a właściwie poniekąd u jego stóp, widać było płaski cementowy dach domku, na którym stały dwa płócienne, w błękitne pasy leżaki i wiklinowy stolik. Z lewej widniał dość obszerny ogródek wysypany żółtawym żwirem. Rosło w nim kilka drzewek i starszych drzew, rzucających cień na paręnaście stolików i stołków. Korony drzew, znajdując się na poziomie twarzy autora, przysłaśniały kształty jakiejś drewnianej budy, ukrywającej się w głębi. Lecz kiedy autor, stąpiwszy trochę w bok, spojrział przez wyrwę między listowiem i zobaczył, co to była za buda – z piersi wyrwało mu się niemal westchnienie czy też coś w rodzaju okrzyku. Z początku nie uwierzył był własnym oczom. Jakże to dziwne, zawołał w duchu, a może nawet półgłosem. Wtedy znowu zawiało nań – i to w samym sercu wyludnionej o tej porze roku Warszawy, zadymionej i zakurzonej – znaną powieścią Conrada Korzeniowskiego. A niechże cię, z pewnością mi się śni, pomyślał. Drewniana buda, którą widział w wyrwie między gałęziami, miała z pewnością jakieś inne przeznaczenie, niż to mu się wydawało.

Raz jeszcze spojrzął na płaski dach domu, co leżąc u jego stóp jakby tarasował wejście do ogródka. Zobaczył górną część bocznej ściany, ściany głuchej i ślepej, bo bez żadnego okna. Była tynkowana kremowym tynkiem, tak jak w tropikach, gdzie domki są przeważnie różowe lub kremowe. Słońce wychyliło się zza swej mlecznoszarej zasłony, ni to mgieł, ni to kurzu, i teraz cały ogródek z jego restauracyjnymi stolikami oraz płaskodachy domek pływały się w rozgrzanej żółciźnie. I oto na bocznej kremowej ścianie zobaczył autor dość prozaiczny sobie napis: „Sportowa”, o bardzo wyblakłych i na wpół startych literach brązowego koloru.

Sportowa! To jeszcze nic nie mówiło. Mogło to być jakieś podrzędne stowarzyszenie łódkarzy lub dajmy na to kajakarzy. Ale dlaczego w głębi ogródka widniał ten osobliwy, żywcem z Conrada wzięty drewniak? Czym jego obecność tutaj się tłumaczyła?

Autor tedy pomyślał, że skoro w ogródku stoją ogrodowe stoliki, z których dwa były nawet przykryte obrusami w kraty – to istnieje prawdopodobieństwo, iż czekają one na gości czy klientów, i to może niekoniecznie członków jakiegoś domniemanego stowarzyszenia łódkarzy. Może wstęp do tego ogródka będzie wolny i dla zwykłego sobie spacerowicza? Może wpuszczą go tam bez członkowskiej karty wstępu. Autor chciał dotknąć palcami owego intrygującego drewniaka, przekonać się namacalnie, że nie śni. Ale jak się tam dostać, którędy? Domek z napisem „Sportowa” zwrócony był fasadą do rzeki. Prawdopodobnie prowadziła doń jakaś ścieżka. Brzeg jednak widniał gdzieś bardzo daleko, na dole. Wtem, pochyliwszy wzrok, zauważył autor o kilka kroków od siebie i z boku chodnika – strome kamienne schodki. Nie miały poręczy. Stopni było co najmniej piętnaście. Gdy ostrożnym krokiem – krokiem człowieka, który wchodzi do muzeum z nader kruchymi eksponatami – zszedł po nich na dół, przywitało go bzykanie pszczół. Trudno było powiedzieć, co one tutaj robiły, jakiego nektaru szukały i gdzie: wokoło rosło tylko parę krzaczków, bynajmniej nie kwitnących. Za krzakami widniała piaszczysta żółta powierzchnia, z rzadka porośła trawą. Tu na dole było jeszcze duszniej niż na trotuarze u wylotu mostu. Starając się nie spłoszyć i nie pogniwać pszczół, autor, rozsunawszy gałęzie dwóch krzaczków, wyszedł na piaszczystą równię. Trzewiki jego tonęły w piasku, gdy obszedł boczną ścianę „Sportowej” i podszedł do niej od frontu.

Drzwi „Sportowej” były szeroko otwarte. Żadnego napisu czy szyldu nad nimi. Prostokątna kremowa fasada żarzyła się w słońcu, wszystko wokoło drzemało. Z jednej i drugiej strony drzwi widniały po dwa zamknięte okna o poplamionych wapnem szybach. Niczym oczy pokryte kataraktą patrzyły one z rozpaczą niewidomego na Wisłę, która znajdowała się teraz za plecami autora.

– Czy można tu wejść? – spytał wchodząc na skrzywiony drewniany ganek i zatrzymując się w rozwartych drzwiach.

Od razu znalazł się w cieniu, prawie w półmroku, w którym z lekka tylko połyskiwały butelki stojące na półkach szynkwasu. Był to dość obszerny lokal, tonący w różnych odcieniach brązu – czerwonym, niekiedy złocistym, ale przeważnie bardzo ciemnym. To tanią boazerią wyłożone były ściany. Troje ludzi znajdowało się w tym lokalu. Za kasą, u skraju lady bufetowej siedziała otyła, wydekoltowana kobieta w białej sukni z gazy, przez którą przeźierał różowy biustonosz. Miała duże, wilgotne, szare oczy wyrażające zdumienie, a zarazem jakąś niezwykle figlarną zachętę. Oczami tymi jakby zapraszała wchodzącego do udziału w czymś śmiesznym, co zaraz nastąpi. Robiła na drutach, które spod jej palców rzucały szybkie ostrzegawcze błyski i nieraz pobrząkiwały. Przedługa biała płachta, ni to kapa na łóżko, ni to inny koronkowy obrus spadała jej z kolan na podłogę. Kobieta miała tłuste, nabrzmiące gardło zlewające się z podbródkiem; zdawać się mogło, że cierpi na wole. Obok niej na ladzie bufetowej stał gramofon o staromodnej trąbie w kształcie olbrzymiej błękitnej lilii.

Na wiedeńskim brązowym krześle, nie opodal kasy, z nogami wyciągniętymi przed siebie i twarzą przysłoniętą gazetą drzemał sam dzierżawca. Ciemniem opierał się o ścianę.

Był to szczupły człowieczek w czarnych spodniach i w samej koszuli o zawiniętych po łokcie rękawach. Natomiast w głębi, w otworze drzwi prowadzących do ogródka – do którego autora tak ciągnęło – stał kelner. Stał przeto na tle rozśłonecznionej zieleni i poniekąd blasku.

Był w kelnerskim smokingu, dość sobie wyświechtanym, z czarną muszką i białą świeżą serwetką na łokciu. Krępy blondyn w średnim wieku, o rudawym puszystym wąsiku, i o nogach cokolwiek po bokach wygiętych łukiem. Między kolanami widniała mu wolna przestrzeń w kształcie wydłużonej litery O. Ale poruszał się on na tych nogach niezwykle zgrabnie i usłużnie. W małych oczkach, błękitniejących spod rozczochranych, groźnych, rudawych brwi mignęło też coś na kształt zdumienia.

– A jakże! Czym panu szanownemu mogę służyć? – szybko a zręcznie podsunął się ku autorowi i przełożył serwetkę z jednego łokcia na drugi.

– Chciałbym się czegoś napić, jeżeli można. Taki upał! – powiedział autor.

Kelner na chwilę zamilkł niczym uderzony jakąś dziwną myślą. Dolna warga mu opadła odsłaniając szczerbate, od nikotyny szerniałe zęby. Po czym błękitne kropeczki oczu rozbłysły mu się jeszcze zajadlej. Czegoś się znać domyślił.

– Czy pan szanowny może kogoś tu szuka? – spytał z otuchą.

– O nie, zabrnąłem tu całkiem przypadkiem. Czy to restauracja?

– A jakże! „Sportowa”. Jeżeli szanowny pan życzy sobie czegoś się napić, to proszę bardzo. Mamy tego pod dostatkiem. Prowadzimy także kuchnię. Szefowa dziś poleca turnedo – i kelner wskazał serwetką połyskujące w półmgle butelki za szynkwasem.

Turnedo, no, no! pomyślał autor nieco zaskoczony. Wystarczyło mu jednak podejść do lady i z bliska się przyjrzeć butelkom, by zaskoczenie jego jeszcze się wzmogło. Był bowiem przygotowany, że zobaczy asortyment wódek krajowych i taniego owocowego wina. Zamiast tego ujrzał na półkach, bolsy, martele, i przeróżne martini. Niewiele tego było, a jednak.

– Może napiję się cinzano. Szkoda, że państwo pewnie nie mają lodu?

– Lodu? A jakże! – zawołał kelner. – Czy szanownemu panu zamrozić butelkę w wiaderku, czy przynieść lód osobno?

Przysłonięty gazetą dzierżawca nadal drzemał i gazeta miarowo poruszała się nad jego twarzą. Natomiast otyła kobieta, prawdopodobnie dzierżawczyni, o obnażonych i jakby przekrwionych ramionach koloru chłodnika, do którego dodano za dużo buraczków, wydała z siebie jakiś dźwięk – wysoką drżącą nutkę; była nawet melodyjna, choć nie wiadomo, co oznaczała. Rzekłbyś, zaczęła nucić piosenkę i nagle urwała. Ponieważ przechyliła się przy tym w stronę autora, pomyślał, że dźwięk skierowany był do niego.

– Przepraszam? – spytał mimo woli.

– Nic – odrzekła – ja się trochę jąkam. Pan jest zapewne redaktorem, nieprawdaż?

I wciąż patrzyła – zapraszającymi szarymi oczami, zdumionymi, a zarazem jakby obiecującymi, że zaraz, zaraz zacznie się jakaś niezwykła zabawa. Głos miała wyjątkowo cienki – niczym srebrzysty pisk nieletniej dziewczynki. Widocznie w zapłnionym tłuszcem gardle istniała tylko nad wyraz wąska szczelinka, przez które powietrze z trudem mogło się przecisnąć. Coś jakby otwór fletu.

– Nie... – znowu zdziwił się autor. – Jestem adwokatem.

Zaczął wachlować się kapeluszem – czuł, że czoło ma mokre. Wydało mu się, że gdy tak wymienił swój fach – być może zupełnie niepotrzebnie – otyła, wydekoltowana szefowa i kelner wymienili spłoszone spojrzenia. Oczy ich jednakowo w półmroku błysły niczym zielonkawe szkło butelek. Wydało mu się też, że kelner nagle przestał się uśmiechać, a właściwie jał się uśmiechać inaczej, niż przedtem. Wciąż ukazując swe szerniałe zęby – teraz robił to trochę tak, jak gdyby zamierzał coś nimi obgryźć, dajmy na to jakąś kość.

– Czy szanownemu panu podać wermut tutaj, czy w ogródku? – Głos miał też jakby inny, bardziej skrzeczący i mniej usłużny.

Autor prawie nie zwrócił na to uwagi. Pamiętał o prawdziwym celu swej tutaj wizyty. Drewniak! Ta dziwaczna buda w kształcie muszli, którą zauważył był z chodnika, gdy patrzył przez ażurową kopułę jednego z drzew.

– W ogródku, w ogródku! – zawołał.

I wachlując się kapeluszem szybko wszedł do otworu drzwi, za którymi był blask, żółcizna i zieleń. I od razu obegnało go zawsze gorącym. Nie patrzył ni w prawo, ni w lewo. Zstąpiwszy z progu, poszedł po ziemi wysypanej żwirem, który chrząścił mu pod podeszwami. Po bokach mignęły ogrodowe stoliki i poplamione słońcem pnie drzew. Ciągnęło go w sam głęb. Tam majaczyło coś, od czego nie mógł oderwać wzroku. To było zdumiewające. Drewniak! Drewniak przeniesiony z jakiejś Sumatry na Powiśle. Zrobiwszy jeszcze parę kroków, przystanął. – Conrad, Conrad – powtórzył półgłosem.

– Co to? Co to takiego? – spytał potem i wskazał przed siebie.

Kelner na swych łukowatych nogach poleciał za nim, teraz z lekka dyszał za jego ramieniem.

– A to, proszę szanownego pana, nasz teatrzyk – objaśnił go.

W istocie. Tonąc w krzewach, z obu stron przysłonięta gałęziami, wznosiła się przed nimi letnia scenka czy estrada pod drewnianym rzeźbionym okapem, przypominającym różową muszlę. Ta niezwykle sobie skromna i uboga buda, pomalowana bowiem była ongiś malinową farbą, napoły zmytą już przez deszcze i spłowiałą w słońcu. Tam i ówdzie plastry jej odstawały od desek i nawet zwisały w powietrzu. Scenka wyglądała jak niewielki podłużny pokój o podłodze unoszącej się nad ziemią na wysokości półtora metra. Na deskach po bokach widać wymalowane były dawniej śmiejące się, bezzębne maski – ale tego można było tylko się domyślać. U góry jeszcze pozostał zardzewiały drut, po którym przesuwano – prawdopodobnie czerwoną – kurtynę.

Prażyło słońce. Ogródek drzemał w letniej ciszy i upale. Zdawało się, że oto zaraz zaraz z restauracji wyjdą długim szeregiem białe widma Conradowskich muzykantek z biedną Leną na czele i usiądą tam na scenie, by rozpocząć swój popołudniowy koncert.

Niebysław, pomyślał autor i znowu ni to westchnął, ni to powstrzymał w sobie okrzyk zdumienia.

Ale jak się okazało, nie tylko on znał niemal na pamięć *Zwycięstwo* Conrada.

II

Nie był bowiem jedynym gościem w tym ogródku restauracyjnym – na tej egzotycznej fotografii, umieszczonej ni stąd, ni zowąd w albumie warszawskich zdjęć. Gdy się odwrócił, zauważył, że pod drzewem rosnącym tuż koło wejścia do restauracji siedzi jakiś pan w panamie. Właśnie w panamie! I to o rondzie opuszczonym ze wszystkich stron w dół, w sposób cudzoziemski i praktykowany tylko w filmach, których akcja rozgrywała się w gorących krajach. Nie dość na tym. Nieznajomy w panamie siedział na ogrodowym składanym krzeselku, położywszy nogi na krzeselko sąsiednie – też w sposób praktykowany raczej przez obcokrajowców. Był w tak jasnym popielatym ubraniu, że prawie w bieli. Na stoliku przed nim stało kilka butelek i szklanka. Zielonkawe plamy – cienie liści – migały na obrusie.

Autor to musi zaznaczyć, że był zawsze człowiekiem nie skorym do zawierania przygodnych znajomości. Autor przypuszcza, że to te niezwykle okoliczności, jakiś pozawarszawski urok otoczenia – sprawiły, że odstąpił od tych swoich zasad. Zamiast usiąść samotnie w innym kącie ogródka, wybrał sobie miejsce przy stoliku w pobliżu nieznanego, oparłszy krzeselko o gruby pień drzewa. Przeto, również jak i nieznajomy, pograżył się z ulgą w zielonkawym, drgającym półciem.

Niemal od razu potem na blacie przed nim zjawił się kraciasty obrus, a jeszcze po chwili cinzano i miseczka z lodem. Były nawet do tego lodu platerowane szczypczyki. Nieznajomy spod kresy panamy spojrzał na autora. Być może chciał wszcząć rozmowę.

Ale wtem w czarnym otworze drzwi „Sportowej” ukazał się sam dzierżawca. Widocznie coś nagłego i przykrego przerwało wreszcie jego drzemkę. W rękę trzymał płachtę gazety, którą przedtem – drzemiąc – przysłaniał sobie twarz.

Był to miniaturowy człeczyna, brunecik o wypomadowanej główce z przedziałem w środku i lśniącej w słońcu. Pod nosem rosła mu czarna kępka włosów, napomknięcie wąsika. Twarzyczkę miał podłużną o przesłodzonym wyrazie usłużności i gotowości – gotowości na wszystko – któremu to wyrazowi przeczył jego wzrok, czujny, czarny i wysoce czymś zdenerwowany. Tym wzrokiem szybko i parokrotnie autora obmacał. Po czym na paluszkach, szmerząc żwirem, podbiegł do niego.

– Czy panu mecenasowi będzie tu wygodnie? – spytał nie wiedzieć czemu poufnym, pobożnym szeptem.

Był nadal w samej tylko koszuli i jego odsłonięte po łokcie ręce, niezwykle cienkie i bynajmniej nie opalone – mimo lata i upałów – miały w sobie niezdrową biel, „biel charakterystyczną dla białych przebywających w tropikach!” Tak ni stąd ni zowąd pomyślał sobie autor, wciąż nie mogący się otrząsnąć z prześladowczej conradowskiej wizji. Na dobitkę ręce te były wyzbyte jakiegokolwiek męskiego zarostu. Ot tak, były to sobie raczej drżące rączki jakiejś staruszki.

Ale poza tym miniaturową postać dzierżawcy cechowała szczypta nawet elegancji. Na nogach miał lakierki, co prawda zdeptane i o potrząskanej skórze, ale – lakierki.

Nakrochmalony kołnierzyk koszuli był zapięty, a w czarnym krawacie, co mu zwisała na zapadłej piersi, czerwieniła się – może prawdziwa, a może fałszywa – rubinowa szpilka. Autorowi wydało się, że uczuł słodkawego zapachu pomady do włosów. Podziękował.

– Mam wszystko, co mi potrzeba. Tu w cieniu czuję się doskonale. Taki upał!

Dzierżawca, trzymając w wyciągniętej wzdłuż tułowia ręce gazetę, która dotykała żwiru, i drugą rączkę przyłożywszy do krawatu, zgiął się niemal wpół.

– Stokrotnie przepraszam, że nagabuję – szepnął po swojemu pobożnie. – Wszak się nie myślę, jeżeli zwracam się do pana łaskawcy per panie mecenasie? Małżonka mi mówiła, że ten gość, który tylko co przyszedł, to znaczy pan, to adwokat?

– Tak, wspomniałem o tym.

– Jak się cieszę, że możemy gościć u nas kogoś z warszawskiej palestry! – zawołał dzierżawca znowu takim namaszczonego szeptem, jak gdyby szło mu o jakąś świętość; ale świętość – której czemuś się bał. W przeciwnym razie nie byłby patrzył takim macającym i wyczekującym wzrokiem. – A czy... a czy wolno wiedzieć dokładnie, w jakiej mianowicie filii prawniczej, w jakiej specjalności kodeksu prawnego pan mecenas prosperuje? – szepnął dalej.

– O, o to panu chodzi? Fuf. Co za upał!... Jestem specjalistą od spraw rozwodowych – i autor znów zaczął się wachlować kapeluszem.

Dzierżawca nalał mu do kieliszka wermutu. Po czym szczypczykami uchwycił kawałek lodu.

– Jeden kawałeczek, czy dwa? – spytał już całkiem cicho.

Cień czy też aluzja wąsika – taki bowiem był przystriżony i nieznaczny – poruszył mu się pod nosem. Spowodowało to na jego wargach leciutki, do uśmiechu podobny skurcz.

– Rozwodowych?... – powtórzył.

Widocznie ta nowina skądinąd go uspokoiła. Oczy przestały macać i kłuć. Ale tylko na chwilę. Wnet jawiło się w nich niedowierzające lśnienie. Niedowierzające i może po trochu ubawione. Znamy takich, mówiły one, myśmy sami z niejednego kotła jedli. Ładny mi specjalista od spraw rozwodowych!

Wnet opanował się i pokiwał głową z najwyższym uznaniem. Był teraz samą słodyczą.

– Wielki, wielki zaszczyt – wyszeptał. – Mamy u nas księgę pamiątkową. Można byłoby ją nazwać złotą – cóż, kiedy skromność nie pozwala! Za niskie progi, proszę pana mecenasa. Wierzę jednak, że pan mecenas nie pogardzi i nie odmówi nam swego podpisu. Bo i jakby inaczej! Jakże by mogło być inaczej? Przepraszam, jeżeli znowu nagabuję, ale nie dosłyszałem, zdaje mi się, nazwiska mecenasa. Czy wolno wiedzieć, jaka jest godność, godność naszego łaskawcy?

Autor zastanowił się przez chwilę; nie znalazł atoli powodu, dla którego miałby nie ujawnić swego nazwiska.

– Jestem mecenas Grossenberg – powiedział. – Adam Grossenberg.

– Grossenberg? – powtórzył dzierżawca znowu niedowierzająco i tak jak gdyby usiłując coś sobie przypomnieć.

Jednak niczego przypomnieć sobie chyba, nie mógł. – A jakże! A jakże! – zamlaskał nieszczercze językiem. – Znane i szanowane w Warszawie nazwisko. Kto by nie słyszał! Odmeldowuję się panu mecenasowi posłusznie i wycofuję ze sceny. Bardzo polecam nasze cinzano. Nie jest butelkowane w kraju, o nie. Jest sprowadzane w butelkach. To wielka różnica. Nie śmiem przeszkadzać, już, już odchodzę!

I wlokąc za sobą po żwirze gazetę – wieczorne wydanie brukowca – na paluszkach i niemal tyłem wycofał się do progu restauracji, w której znikł. Szept jego jeszcze przez czas jakiś wisiał w spiekocie i upalnym bezruchu ogródka. Wszystko wokoło nadal drzemało. Wtem mężczyzna w panamie obrócił się boki i zmienił pozycję nóg. Spod panamy spojrzął ma autora.

– Sztajs! – powiedział porozumiewawczo.

Autorowi, któremu wszystko to przypominało zmyśloną egzotykę, jakieś powieściowe czary – wydało się, że nie dosłyszał.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Powiedziałem Sztajs. Tak się on – i nieznajomy wskazał kciukiem otwór drzwi – tak się właściciel tej knajpy nazywa. Ta z mora, co się tylko co przed panem kręciła. Czy to nie nadzwyczajne? Sztajs, właśnie Sztajs! Bo przecie w takim miejscu, jak tu, właściciel nie powinien i nie może nazywać się Kowalski lub Kwaśniewski. Czy nie mam racji? Przedziwny typ. Przedziwne ziółko, muszę pana uprzedzić. Podejrzewam go o najgorsze rzeczy. Czy zgadza się pan ze mną, że pasuje do tego lokalu? Ręczyć mogę, że wiem, co sobie pan pomyślał, kiedy tu wszedł. O zakład, że się domyślam, co panu przypomniiał ten teatrzyk. Widziałem, jak pan nieomalże go pomacał ręką.

Zielonkawę oczy nieznajomego ledwie wyzierały spod ronda panamy. Zresztą rondo to rzucało cień na całą twarz, cień – poniekąd też zielonkawę – refleks liści.

Sądząc po tym, że krzeselko, na którym trzymał nogi, stało odeń niemal o dwa kroki, był to bardzo słusznego wzrostu jegomość. (Gdy jednak później wstał, wydał się autorowi jeszcze wyższy, niż to początkowo przypuszczał). Był on raczej chudy i kościsty. Przy każdym poruszeniu widać było mocne stawy. Rzepki kolan z trudem maskowane były nogawkami spodni. Twarde i zaokrąglone łokcie od czasu do czasu wypinały rękawy. Twarz również koścista, o wyraźnie zarysowanej zuchwie, obok której szybko i stale poruszał się jakiś mięsień. Nos miał garbaty, o grubej kostce.

Ale przede wszystkim patrzyło mu się na wargi. Ciemne, spierzchnięte jak u człowieka bardzo spragnionego wody, były nader wymowne – krzywiły się, w miarę jak mówił, nieraz z rozczarowaniem, nieraz z wyrazem najwyższego entuzjazmu. Przypominał sceptyka, który nagle przekonał się, że jednak cuda istnieją.

– Skąd pan mógł wiedzieć, co sobie pomyślałem, gdy zobaczyłem ten teatrzyk? – spytał autor. Wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć i przyzwyczaić się do swego zdumienia. – Czy może i panu on coś przypomina.

– Ba!

– Co, proszę!

– To nie było trudno zgadnąć. Każdy odczytany człowiek, któremu nie zgaśł jeszcze w oczach blask morza i zamorskich lądów – lądów i zakątków widzianych przez trzecią osobę – nie może, nie może bez okrzyku wstąpić na ten rozżarzony żwir, spojrzeć na te stoliki, a zwłaszcza na tę koncertową budę. Wszystkiemu w gruncie rzeczy jest winna Aniela Zagórska, mówię panu – *cherchez la femme!* Aniela Zagórska.

Było to nazwisko – jak wiadomo – świetnej tłumaczki Conrada i dalekiej jego krewnej. Autor, niemal rozwarłszy usta, spoglądał na nieznanego. Czyżby naprawdę czytał w jego myślach?

– Pan mnie zainteresował – powiedział.

– A co! Nieprawdaż? Zresztą nie chcę uchodzić za jakiegoś jasnowidza... Po prostu obserwowałem pana, jak podszedł do teatryku, i słyszałem, jak zawołał: Conrad, Conrad.

Nagle z rozwartych drzwi „Sportowej” doszły dźwięki muzyki. Z początku był skrzek, szmer i coś piszczącego. Potem igła (gramofonu) dobiegła na płycie do uwertury jakiegoś smyczkowego utworu. Wszystkie smyczki rzuciły się na jeden niefrasobliwy temat, rozkawałkowując go na części. Płyta była stara i przeto wydawało się, że instrumenty nieporadnie fałszują. Ale to właśnie jak najbardziej pasowało do scenerii. Postrzępiona melodia, wesołe i smętne nuty na przemian, najpierw jakby tłoczyły się w drzwiach, po czym popędzane smyczkami i wciąż przyspieszając tempo, nabierając tchu wpłynęły do ogródka, by zawisnąć wśród nieruchomego rozświeconego listowia. Conradowska wizja trwała, podobieństwo, acz prawie bezpodstawne, było coraz większe. Rozpoczął się popołudniowy koncert wędrownych, ubranych w biel muzykantek, które podnajmował dla artystycznej rozrywki swych gości restaurator i hotelarz Schomberg. Wtem smyczkowy akompaniament się ściszył i na pierwszy plan, pełzając nad zielonymi wierzchołkami drzew i jakby odbijając się o muszlę teatryku w głębi, wybiły się czyjeś skrzypce. Po chwili już grały same.

– Niech pan słucha, niech pan przymknie oczy i słucha! – zawołał mężczyzna w panamie. Wyciągnął się na krzeselkach i w istocie przymknął oczy z widoczną rozkoszą. Wargi jego wyrażały zachwyt, jakąś wniebowziętość. – Przecież to Lena gra solo!

III

Rozmowa autora tych wspomnień i reminiscencji oraz starannie powiązanych notatek (których tyle, tyle stron się uzbierało), z nieznanym w panamie trwała nie tylko do zmroku i wieczoru, lecz przedłużyła się do drugiej nad ranem.

Na stoliku, przy którym ów mężczyzna na wpół leżał, stało – jak to już było powiedziane – kilka butelek. Była to przeważnie niewinna żółta lemoniada. Ale stała tam także butelka koniaku, niestety, prawie do dna wypróżniona. Jak się potem okazało, po drugiej stronie stolika kryło się za obrusem wiaderko z lodem, do którego nieznanomy od czasu do czasu sięgał, by wyjąć nowy zapas chłodzącej lemoniady. Nalewał ją do wysokiej szklanki, mniej więcej do jej połowy, a potem resztę wypełniał koniakiem. Tę skrzącą się i pryskającą mieszaninę pił duszkiem. Musiał, musiał już być nietrzeźwy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI